

Widziałem Orlej cień

Zdjął swoje stare, wierne drewniaki, postawił stopę na pierwszym z niknących we mgłę szczebli drabinki nad Kozią Przełęczą, popatrzył w dół, przeżegnał się i cofnął ze słowami: – Nie ma głupich, nie dam się zabić.

Łukasz Kaźmierczak

Zdjęcia **Jarosław Tomaszewski**

Zupełnie niespodziewanie wokół Orlej Perci rozpętała się ostatnimi czasy nieomal polityczna dyskusja: – Ferrata, tylko ferrata – mówią jedni. – Nie, nie, zdjąć całe to żelastwo, żadnych ubezpieczeń, robimy drugą Słowację, wejście tylko z przewodnikiem – gardłują inni. Do tego włączają się tradycjonalisci, rzucający na szalę historyczne racje i podkreślający niepowtarzalność całego szlaku. Temperatura sporów rośnie, a debata zaczyna niebezpiecznie zegłować w kierunku klasycznego, parlamentarnego: „siecz, kluj, rąb i tratuj”.

I już, choćby tylko z tego powodu, nie mam najmniejszej ochoty na wdawanie się w jakieś dywagacje na temat wyższości ferraty nad szlakiem łańcuchowym albo na odwrót. Osobiście uważam zresztą, że prawdziwy problem z Orłą Percią tkwi zupełnie gdzie indziej: w ludzkich głowach.

Święcie wierzę, że najlepszą metodą na poprawienie bezpieczeństwa tego miejsca wcale nie są wprowadzenie jednokierunkowości szlaku, rozpięcie stałowej linki czy drakońskie zakazy administracyjne, ale selekcja ducha, ten specyficzny „mental spirit” – jakby powiedziała Anna Czerwińska – czyli właściwe, psychiczne przygotowanie ludzi do pójścia tam w górę, na grań.

Czym więc tak naprawdę ma być ten tekst? Obawiam się, że chyba czymś

na kształt rachunku sumienia turysty kwalifikowanego.

Stoicyzm

Myślisz, że w życiu widziałeś już wszystko? Doprawdy? To idź na Orłą Percé. Spotkasz tam ludzkie wynalazki, o jakich nigdy wcześniej ci się nawet nie śniło.

Na przykład bosonogiego Rosjanina, podążającego przez Granaty dziarskim krokiem, zupełnie nieczułego na tortury rumoszu w Żlebie Kulczyńskiego, wprawnie macającego stopnie i swobodnie przeskakującego na kolejne kamienie (ech, nawet teraz, kiedy o tym piszę, mimowolnie rozcieram stopy w poszukiwaniu źródeł domniemanego bólu).

Do dzisiaj zadają sobie zresztą puste pytania: czy on szedł na „tarcie”? Jakim cudem? W jaki sposób przekonał zakończenia nerwowe swoich stóp do współpracy w takim terenie? Specnaz jakowys, magik treningu autogenicznego ze stajni Kaszpirowskiego czy jeszcze coś innego?

I proszę mi wierzyć, nie widziałem u niego żadnych ekstra nibynóżek, zakamuflowanych poduszek powietrznych ani nadzwyczajnych zrogowaceń w stylu tolkienowskich hobbitów.

– Taką mam technikę – odpowiedział tylko, indagowany na okoliczność swoich bosych płaśów po skalnej grani.

I oddalił się, pozostawiając mnie w niemej zadumie.



Po owym spotkaniu zahartowałem się na tyle, że dziś niewiele rzeczy jest mnie jeszcze w stanie zdziwić na Orlej – nawet świeża opowieść o niewidomym chłopaku, spotkanym tam przez kolegę kilka tygodni wcześniej. Właściwie to nawet powinienem się spodziewać czegoś w tym stylu, bo swoista „moda” na niepełnosprawnych w górach ogarnęła turystyczny światek już dość dawno temu. Dłaczego więc nie miałyby dotrzeć na ferraty i ich pochodne? I bardzo dobrze, w końcu ktoś zaczął wcielać w życie szczytne hasło „góry bez barier”.

Flegmatyzm

A skoro żadnych barier, to nie może być ich także dla zakonnic w powiewających na wietrze habitach, szykujących się



Wędrującym Orlą Percią niemal przez cały czas towarzyszy wspaniały widok na Tatry Wysokie. Na zdjęciu, ponad grzbietem otaczającym Dolinę Pięciu Stawów Polskich, widzimy m.in. Ganek, Niżnie Risy, Rysy, Wołowy Grzbiet, Mięguszwieckie Szczyty, Cubrynę i Koprowy

do forsowania osławionej drabinki nad Kozią Przełęczą. Dla takiego widoku naprawdę warto było przerwać wędrowkę w kierunku Kozich Czub, usiąść i obserwować dalszy bieg wydarzeń. Dziwne, ale od samego początku byłem pewien, że owe eremickie zapasy z przeszkodą to będzie bułka z masłem. No i nie pomyliłem się – siostrzyczki pokonały drabinkę lekko, z gracją, stylowo, z wprawą godną samego Jana Długosza albo jeszcze lepiej – krakowskich Pokutników. O tak, czegoś równie niespodziewanego doświadczyć można chyba tylko na Orlej. A może się mylę? To dlaczego w takim razie spotykam tam ciągle ludzi jakby nieco odklejonych od rzeczywistości?

Na przykład człowieka z parasolem, który rączką zahaczał o klamry w pięk-

nym, ukośnym kominku w Orlej Baszcie. Świetnie wyekwipowany – wysokiej klasy oddychająca odzież turystyczna, markowe buty, wystająca z plecaka rurka CamelBacka. Tylko ten parasol... I to nie żadne tam udziwnione, wspinaczkowe ustrojstwo, ale zwykłe, reklamowe barachło z nadrukiem bodajże jednej z sieci stacji benzynowych. Ów dżentelmen jakby żywcem wyjęty z „Klubu Pickwicka” miał tylko jedną odpowiedź na moje wątpliwości: – Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci młody, niedoświadczony człowieku, w górach trzeba być zawsze gotowym na nieporogę.

Hmm..., a masz jeszcze jakieś inne, równie celne uwagi Wujku Dobra Rado? Na przykład, co należy zrobić podczas spotkania z rozjuszonym buhajem, nacie-

rającym od strony podciętego Żydowskiego Żlebu w kierunku Zmarzłej Przełęczki Wyżniej? Mowa o przerośniętym człowieku-demolce, o którym już kiedyś wspominałem na łamach „n.p.m.”, rozdającym kuksańce każdemu, kto ośmielił się spojrzeć na jego towarzyszkę w lamparcim anтураżu. A zaiste było na co popatrzeć: spalona solarycznym słońcem twarz Fatimy spod Wołomina wspaniale kontrastująca ze śniegiem zalegającym w żlebie. Absolutna biel i czerń. A w tle tego wszystkiego grało podwójne, łańcuchowe staccato – tych w ręce i tych grubszych – na ręce...

Cierpliwość

Z tymi ludźmi na Orlej to w ogóle jest przedziwna rzecz. Spotkamy tam chyba wszystkie turystyczne gatunki ►



Kolejne symbole szlaku: piękny blok skalny i młodsza siostra drabinki nad Kozią Przełęczą. Okolice Orlej Turniczki

występujące w Tatrach – od żwawych łojantów z błyskiem w oku po typowych przedstawicieli sarmackiego pospolitego ruszenia, co to z pieśnią na ustach i strzałami z kapiszonów ruszają hurmem na Giewonty i inne Ciechocinki. Spotkanie twarzą w twarz z tymi ostatnimi to niechybny szok poznawczy, a zarazem największa trudność, na jaką możemy natrafić na Orlej Perci.

Spróbujemy wyobrazić sobie kluczowe trudności trawersu przepaścistych Orlich Turniczek – zacna lufa, wyteżona uwa-

nia się po kupie luźnych kamieni gdzieś w obejściu Wielkiej Buczynowej Turni. W jednej chwili stajemy więc oko w oko z posiadaczem jedynej w swoim rodzaju, dyżurnego stroju nadwiślańskiego turysty, rozpoznawalnego bez pudła z odległości kilometra w każdym zakątku świata. Co robić? Iść dalej, cofnąć się, próbować omijać? Ach, żeby tak jeszcze wiedzieć, co siedzi w głowie osobnika, na widok którego na usta ciśnie się samoczynnie pytanie: – Człowieku, jak Tyś tu w ogóle wszedł?

resowanie fascynującą budową Skrajnej Sieczkowej Przełęczki.

Pokora

Ale jest też trzecia kategoria, dla mnie zupełnie niepojęta i wymykająca się jakimkolwiek racjonalnym klasyfikacjom. Mowa o ludziach, którzy swoim zachowaniem, sposobem poruszania się, wypowiedzianymi uwagami przeczą całkowicie sygnałom wysyłanym przez ich strój i fizjonomię.

Oto bowiem jakiś człowiek siedzący na Skrajnym Granacie – a jakby sekundę temu teleportowany ze swojej przytulnej „szczęki” w okolicach Stadionu Dziesięciolecia – w przyplwywie nagłego natchnienia zaczyna opowiadać siedzącym wokół turystom o pięknym śnie młodopolskiego poety Nowickiego, któremu zamarzyło się stworzyć „jedyne w swoim rodzaju, nader fantastyczny szlak grzbietowy”. A swoją fascynującą opowieść o początkach Orlej Perci przerywa jedynie popiciem wody i zagryzaniem wafelków wyciąganych z charakterystycznej, pasiastej torby... „stadionówki”.

Albo mężczyzna o aparycji wziętego zegarmistrza, który w jakichś żałośnie nizinnych półbutach (żeby nie powiedzieć mokasynach) na nogach ogarnia

Niewiele rzeczy jest mnie jeszcze w stanie zdziwić na Orlej – nawet świeża opowieść o niewidomym chłopaku, spotkanym tam przez kolegę kilka tygodni wcześniej

ga, dobrze przemyślana sekwencja kolejnych ruchów, wyrównywanie oddechu – wszak to miejsce, gdzie najdrobniejszy błąd może naprawdę skończyć się tragicznie. Aż tu nagle zza zakrętu wyłania się typowy przedstawiciel owej specyficznej kasty turystów, ubranych zawsze w taki sam sposób – bez względu na to, czy jest to rodzinny wyjazd na grill w Bory Tucholskie, przechadzka po Polach Elizejskich czy też rozpaczliwe próby zsuwa-

Przynajmy jednak uczciwie – tego rodzaju „wynalazki” stanowią mniejszość w tłumie ludzi przewijających się przez najsłynniejszą polską grań. Potwierdzają to zarówno ratownicy TOPR, jak i sami pracownicy TPN. W ich zgodnej opinii na Orlej Perci występuje lepszy sort turystów, bardziej świadomych i odpowiedzialnych, lepiej wyekwipowanych, gotowych nieść innym pomoc, miast obrócić się na pięcie i udawać nagłe zaintere-

czujnym wzrokiem całe swoje damskie towarzystwo w wąskim skrzyżowaniu szlaków między Orlą Percią a drogą z Koziej do Pustej Dolinki. Wszystko zaś, co mówi i robi, każe przypuszczać, że facet ma co najmniej przyzwoite pojęcie na temat podstaw asekuracji w ścianie. Gołym okiem widać zresztą, że porusza się po wyślizganych, obłych i pochyłych stopniach z gracją i lekkością Odetty z Jeziora Łabędziego.

I trzeci przykład z tej samej stajni – młody Słowak, wnioskując „na oko” pochodzenia romskiego, ubrany w na poły znośzone łachy i tanie, bułgarskie, bazarowe adidas, który skacze sobie jak gdyby nigdy nic po urwistych, północnych zboczach Koziego Wierchu. Samorodny talent wspinaczkowy, intuicyjnie wyszukujący najlepsze chwytty i stopnie, wykazujący absolutną niewrażliwość na otaczające go przepaście. Niezapomniany to widok.

Chyba tak właśnie musiał kiedyś chodzić słynny Jerzy Leporowski.

Tak, tak, na Orlej pozory naprawdę mylą...

Pycha

Gdzieś między Zawratem a Krzyżnem spotkamy niechybnie jeszcze jedną kastę osobników: świetnie wyekwipowanych, doskonale ubranych i wytrenowanych brykaczy-napinaczy. Wielce ambitnych typów, pewnych siebie, pysznych, napierających niczym czołgi Guderiana na Polskę, dla których cały ten piękny szlak jest tylko kolejnym poligonem, jeszcze jedną okazją do pokazania swoich przewag cielesnych, zadania szyku i podwyższenia własnej samooceny. Poznacie ich po opuszczonej głowie, zawziętej minie i ekspresowym tempie, z jakim poruszają się po fragmentach Orlej. Zupełnie tak, jakby jakiś pijany chirurg zaszył w ich trzewiach tempomat pobudzający do nieustannej galopady po grani.

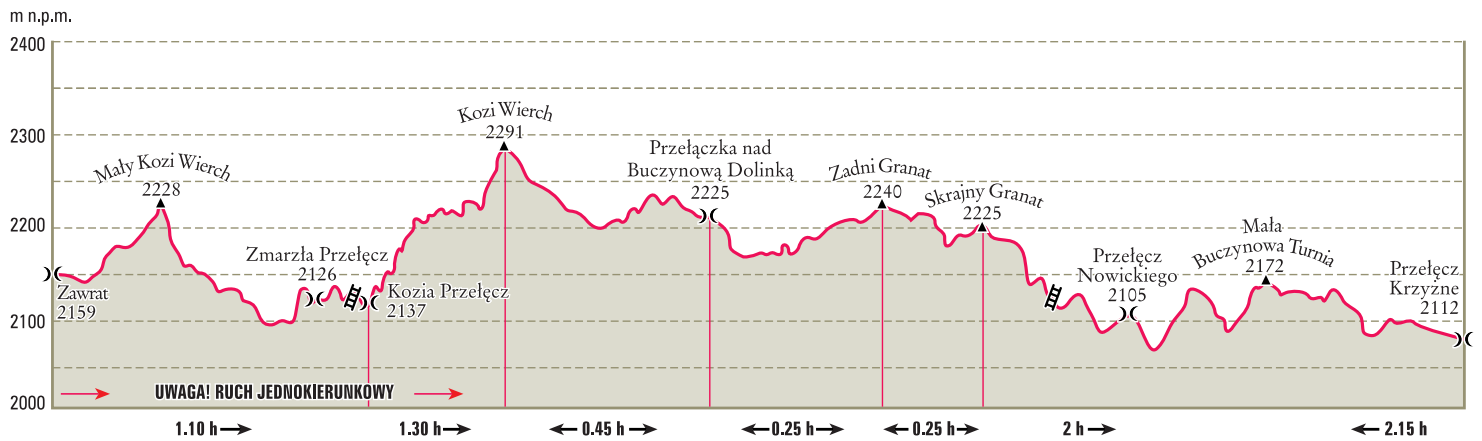
Owi ojcowie-założyciele jednostki specjalnej „Grom” to największe zakąły tego szlaku – traturją wszystko, co spotkają na swojej drodze, skacząc, turlając się i spuszczać po łańcuchach mniej więcej według tej samej metody, z jaką obrywa się porzeczeki – szybkim i zdecydowanym ruchem w dół... A że po drodze znajdują się jeszcze jacyś ludzie, no to już trudno.

Prędzej czy później każdy taki napinacz trafia jednak na równie ambitnego jak on zawodnika. Do takiego spotkania „w samo południe” może dojść wszędzie, ot choćby w Żlebie Kulczyńskiego – osobnik schodzący Kulczynem zaczyna zrzucać kamienie na osobnika podchodzącego, ten zaś z kolei intensywnie pracuje nad ►

Z kominka w Orlej Baszcie
(2177 m n.p.m.)
prosto w dół na gościnne trawki
Pościeli Jasińskiego



Schemat trasy Zawrat – Kozi Wierch – Krzyżne



INFOGRAFIKA MARIUSZ MAMET/MAC MAP

obruceniem znajdującej się jeszcze niżej rodziny z dwójką dzieci. Żaden z nich nie jest jednak zdolny do wydobycia z siebie jakiegokolwiek odgłosu, tak, jakby związani byli jakąś niewidzialną omertą, zmową milczenia, powodującą natychmiastową śmierć w przypadku wykrzyknięcia dwóch ostrzegawczych sylab: „kamień”!

A struny głosowe mają naprawdę potężne, o czym możemy się przekonać już po chwili, kiedy dochodzi do mijanki, podczas której panowie eksplodują lawiną wzajemnych pretensji, roszczeń i grózb.

Demonstracyjna pewność siebie przedstawicieli wspomnianej wyżej kasty nie zawsze jednak idzie w parze z rzeczywistym stanem ich ducha. Naprawdę niewiele trzeba, żeby się o tym przekonać. Wystarczy postać chwilę w okolicach drabinki na Koziej Przełęczy. Bo zu-

chwała mina i głośne deklaracje odwagi to jedno, a trzęsące się łydeczki, poruszające się w takt charakterystycznego kłap, kłap, kłap, wydawanego przez tyłuż historyczną, co okrutnie przedziewiała konstrukcję to zupełnie co innego. Jak to mówią patomorfolodzy – ciała nie oszukasz.

Roztropność

„Gdyby głupota mogła unosić, to latałyby pani jak gołębnica” – to jeden z moich ulubionych, czeskich bon motów, autorstwa złotoustego, filmowego doktora Strosmajera. Dlaczego o tym wspominam? Bo widziałem i słyszałem na Orlej wystarczająco dużo, by nabrać przekonania, że przestrożenie powietrzna nad nią musi być zatłoczona bardziej niż nad paryskim lotniskiem Orly.

W jakich innych kategoriach rozumowych mam bowiem oceniać zdolności spekulatywnego myślenia zaprezentowane przez paniusię, która postanowiła rozchodzić swoje nowe, górskie buty od razu na ostro, robiąc sobie „mały spacer” po Orlej Perci? A jedyną rzeczą, jaką posiadała w swojej „apteczce”, były chyba tylko cukierki z melisą?! Finał, oczywiście, łatwy do przewidzenia: rozpaczliwe próby ratowania zmasakrowanych nóg za pomocą chusteczek do nosa i kawałków jakichś szmat, upychanych gdzieś między butem a skarpetą. Ową opuchloną turystkę zapamiętam z jeszcze jednego powodu – wyjątkowo łatwo było za nią podążyć, bo „opatrunek” pruł się na każdym charakterystycznym, zostawiając za sobą charakterystyczny ślad. Prawie jak jedwabny szlak.

W okolicach Budzowej Igły widziałem z kolei ludzi o wargach białych i spieczonych jak usta Nel z „W pustyni i w puszczy” w czasie ataku malarii. Zero wody, ale za to cały plecak wypchany chałwą. Szybkie obliczenie: od Budzowej do Krzyżnego jakieś półtora godziny forsownej wspinaczki, potem drugie tyle zejścia w okolice pięciostawiańskiej Siklawy. Przed nimi były więc jeszcze co najmniej trzy godziny marszu bez wody, w piekącym, trzydziestostopniowym upale!

Albo małżeństwo, które postanowiło za wszelką cenę udowodnić sobie i całemu światu, że można przejść Orlą Percé z kilkumiesięcznym dzieckiem w nosidełku. Ciekawe tylko, czy ci ludzie wpadliby na ten kretyński pomysł, gdyby wcześniej widzieli i słyszeli, z jakim hukiem spadają kamienie w stromym kominu pod Czarnym Mniszkim? Tutaj przyznaję, że choć nie miewam raczej inklinacji à la szwedzka opieka społeczna, to w takich momentach naprawdę

Historia szlaku

■ Orla Percé to ziszczenie idei poety Franciszka Henryka Nowickiego i księdza Walentego Gadowskiego, którzy chcieli udostępnić ludziom ten kawałek Tatr, a zwłaszcza dać możliwość wielogodzinnej wędrowki granią bez konieczności tracenia czasu na dłuższe zejścia i podejścia. Musieli jednak stawić czoła wielu przeciwnościom: od braku pieniędzy (Towarzystwo Tatrzańskie początkowo niechętnie podchodziło do tego pomysłu) aż po problemy techniczne i aprowizacyjne – zdarzało się bowiem, że górale odmawiali współpracy, widząc wielkie przepaście pod nogami. „Sam nosi farbę i maluje znaki, przybijają drogowskazy, wyszukuje przejścia w nowym terenie, agituje z ambony na rzecz budowy szlaku, prawie przez trzy lata nie schodzi z Orlej Perci, nieomal tam mieszkać” – tak o księdzu Gadowskim pisał inny, znakomity taternik, Czesław Momatiuk („500 zagadek o Tatrach”). Wreszcie w 1906 roku szlak udało się ukończyć. Trasa ta wyznaczała nowe standardy turystyki w Tatrach – samodzielnej i czasami wręcz ryzykownej. Od tamtej pory szlak był wielokrotnie modyfikowany, parokrotnie zmieniało przebieg trasy, a w ciągu ostatnich kilkunastu lat dodano setki metrów dodatkowych łańcuchów i innych ubezpieczeń, znacznie ograniczając pierwotne trudności Orlej Perci.

- Przy pisaniu tekstów i opracowywaniu infografik korzystaliśmy z następujących źródeł:
 - Dariusz Dyląg, Orla Percé: przewodnik wysokogórski, Oficyna Wydawnicza Rewasz, Pruszków 2006.
 - Józef Nyka, Tatry Polskie. Przewodnik, Wyd. XV, Trawers, Latchorzew 2007. Marek Zygmarski, Natalia Figiel, Paweł Klimek, Tatry Polskie i Słowackie, Bezdroża, wyd. III, Kraków 2010.
 - Orla Percé, mapa turystyczna, 1:5000, Cartomedia, Poznań 2009.
 - Orla Percé, mapa turystyczna, 1:50 000, Sygnatura, wyd. V, 2009.

zaczynam się poważnie zastanawiać nad sensownością odbierania niektórym praw rodzicielskich w trybie zaocznego sądu kapturowego.

Umiarkowanie

Brak elementarnej wyobraźni na szlakach górskich upodabnia je zresztą bardzo do naszych samochodowych dróg. Podobne są także zachowania ludzi: od ostrożnej, wyważonej, czasami nawet aż nazbyt asekuranckiej jazdy, aż po brawurę, wyprzedzanie „na trzeciego” i „palenie gumi”. Służę analogiami:

Spotkaliście kiedyś na szosie kierowcę, określanego mianem królowej angielskiej? Takiego, co to jedzie trzydziestką lewym pasem autostrady i nikomu nie ustępuje, bo albo nie widzi, albo nie słyszy lub co gorsza honor nie pozwala mu zjechać na bok? Z pewnością tak. Podobnych miłośników ruchu lewostronnego spotkamy też bez trudu na Orlej – wieszających się po kilku na jednym łańcuchu, nerwowo reagujących na każdą próbę mijanki w szerszych miejscach, a nawet zawracających „bez migacza” w najmniej spodziewanych fragmentach szlaku.

I coś z przeciwnego bieguna – nieodpowiedzialni wariaci, pędzący z zawrotną prędkością na łeb, na szyję w wąską gardziel Koziej Przełęczy Wyżniej, zniecierpliwieni, gniewnie pokrzykujący, trąbiący na wolniej schodzących, z trudem odnajdujących niewielkie stopnie turystów. Albo próbujący się wcisnąć między ludzi podchodzących i schodzących w zagmatwanym systemie łańcuchów w okolicach Granackiej Przełęczy.

Tym większy szacunek należy się więc tym wszystkim, którzy potrafią właściwie ocenić własne siły i rezygnują z efektywnych, nikomu niepotrzebnych, kabotyńskich póż i popisów. Tak jak młoda kobieta wędrująca od strony Zawratu w towarzystwie córki, której wystarczyło jedno spojrzenie w czeluść żłebu Honoratka, by zakończyć swoją przygodę z Orlą Percią, zachowanie godne naprawdę najwyższej pochwały.

I właśnie taka doza pokory, umiarkowania i roztropności plus końska dawka odpowiedzialności to najlepszy ekwipunek do rozpoczęcia przygody z Orlą Percią. Wszystko w myśl hasła: „każdemu według jego możliwości...”. Albo jeszcze dobitniej: „myślę, więc jestem”.

Optymizm

Dobra, koniec tej jeremiady i gderaniny, bo jeszcze naprawdę wyjdzie na to, że na Orlej można się nabawić tylko odcisków,



Przełęcz Krzyżne (2112 m n.p.m.) – koniec wieńczy dzieło

przepukliny i skrętu szyi od oglądania dzieł ludzkiej pomysłowości. W końcu ma to być przecież zachęcająca opowieść o niepowtarzalnym, ekscytującym swym pięknem i grozą szlaku, a nie recenzja radzieckiego filmu wojennego (ten zawsze musi się kończyć wystrzelaniem albo potopieniem w bagnach całej kompanii, do ostatniego czerwonoarmisty).

Proszę mi wierzyć, istnieje naprawdę tysiąc powodów, by przejść te pięćset – sześćset metrów przewyższenia i znaleźć się na legendarnej grani. Ot, choćby tylko po to, żeby poleżeć i pobyczyć się na słynnej Pościeli Jasińskiego. Bo niewiele jest równie idyllicznych miejsc, jak właśnie ten zawieszony wśród skał splechetek trawy z fantastycznym widokiem na Buczynową Dolinkę i obietnicą dalszej, ekscytującej drogi. Tutaj można się wreszcie bezmyślnie pogapić w niebo, urządzić napowietrzny piknik albo złapać trochę zdrowego dystansu do tego, co zostało w dole. Ale uwaga, uwaga – Pościel Jasińskiego, ten nielogiczny przerywnik w całej tej skalnej grani, ma równie zdradzieckie działanie jak świeżo skoszone siano. Rozleniwiające i usypiające zarazem.

Orla to także najwspanialsze pod słońcem miejsce na prawdziwą integrację górską. Pisałem już parę akapitów wyżej o lepszym sortie turystów, których ono przyciąga. W końcu jest to mekka prawdziwych górskich pasjonatów – od śledzących wszelkie techniczne nowinki sprzętowców po tradycyjnych flanelowców, którzy szacunek i respekt dla historycznej perci noszą w swoich od dawna niemodnych, parcianych plecakach z ciężkimi, wrzynającymi się niemiłosiernie w boki stelażami. A jeśli do tego dołożymy potężną dawkę adrenaliny, zapierające dech w piersiach widoki oraz niemal euforyczne poczucie wolności i swobody – wszystko to, razem i z osobna, sprawia, że nawet największym milczkom i mizantropom puszczają hamulce i wzrasta nagle chęć na pogawędkę z przygodnym nieznanym z sąsiedniego kominą.

Nade wszystko jednak Orla to kawał niezwyklej, graniowej przygody, przybierającej momentami charakter nieco zbliżony do prawdziwej wspinaczki. Bo nie ukrywajmy, po to przecież głównie tam przychodzimy, prawda? Żeby „troszku załoić”... ■